

W SS służyły krasnoludki



fot. PAP/EPA / StringerAdolf Hitler

„Nasze matki, nasi ojcowie” to tylko kolejny klocek w tej układance, której celem jest zrelatywizowanie niemieckiej winy.

Łukasz Warzecha

Bohaterski Wehrmacht wkroczył do Polski w 1939 r. z powodów humanitarnych, aby ukrocić falę narastającego antysemityzmu Polaków. Mimo wysiłków sił okupacyjnych, po lasach grasowały nadal bandy nacjonalistycznej tak zwanej Armii Krajowej, dokonując kolejnych zamachów na ludność żydowską, dla własnego bezpieczeństwa skoncentrowaną przez nazistów w gettach. Absurd? Niby tak, ale czy nie do takiego opisu historii dążą Niemcy, systematycznie rozmywając własną odpowiedzialność za II wojnę światową?

Komu się wydaje, że Berlin nie kreuje własnej polityki historycznej, ten musi być ślepy albo głupi. Albo jedno i drugie. Komu się wydaje, że serial „Nasze matki, nasi ojcowie” to pierwsza filmowa próba przedstawienia widzenia II wojny na inne tory, ten również się myli.

Oto jeden z najlepiej opłacanych hollywoodzkich aktorów wciela się w rolę pułkownika Wehrmachtu. Wygląda zabójczo przystojnie w niemieckim mundurze, z przepaską na oku, gdy planuje w gronie zaufanych kolegów zamach na Adolfa Hitlera. Film trzyma w napięciu nawet tych, którzy doskonale wiedzą, jak to się skończy. Bomba w teczce wybuchnie, ale z powodu ustawienia jej w złym miejscu, Hitler wyjdzie z zamachu niemal bez szwanku, a główny inspirator spisku po błyskawicznym procesie zostanie rozstrzelany. Przed śmiercią zdąży jeszcze krzyknąć „Niech żyją święte Niemcy!”.

Claus von Stauffenberg – bo o nim mowa – w „Walkirii” całkiem dobrze przedstawiony przez Toma Cruise’a, ma w Niemczech status narodowego bohatera. Jego legenda jako zagorzałego przeciwnika narodowego socjalizmu jest systematycznie pielęgnowana i wzmacniana. Poświęcony mu obelisk (współfinansowany przez stronę niemiecką) stoi nawet w Wilczym Szańcu, w Polsce, na terenie dawnej kwatery Hitlera, gdzie doszło do nieudanego zamachu.

Jednak każdy, kto choć trochę zainteresował się postacią Stauffenberga i jego motywacjami, wie o jego listach do żony. Mówiąc delikatnie, niemiecki bohater nie prezentuje się w nich

jako szczerzy demokrata czy zaprzysięgły antynazista. Pojawiają się w nich niezwykle pogardliwe określenia wobec okupowanych narodów, w tym Polaków. Zaś motywacja, którą kierował się Stauffenberg organizując zamach, jest całkiem jasna: zapobiec całkowitemu upadkowi Niemiec. Pułkownik chciał zabić Hitlera nie z powodu zleczonych przez niego mordów na Polakach czy Żydach, ale po prostu dlatego, że Hitler ciągnął Niemcyku zagładzie. Gdyby zamach się powiódł, a władzę w kraju przejęli spiskowcy, kto wie, czy w wyniku negocjacji z aliantami Polska nie pozostałaby choćby częściowo pod niemiecką okupacją.

Film nie został zrealizowany za niemieckie pieniądze, był amerykańską produkcją, a prośbom o pomoc niemieckie instytucje początkowo były niechętne głównie ze względu na przynależność Cruise'a do sekty scjentologów. Z czasem jednak projekt zyskiwał przychylność i wsparcie – z opisanych wyżej powodów. W końcu filmowcom udostępniono nawet oryginalne lokalizacje, przed czym początkowo bardzo się wzbraniało.

Był również niemiecki serial „Gustloff – rejs ku śmierci” o dramatycznej ewakuacji uciekinierów z Prus Wschodnich zimą 1945 roku na niegdyś luksusowym liniowcu. Rejs zakończył się największą w dziejach katastrofą morską, w której utonęło ponad 9500 osób. Bardzo to poruszające, ale brak tu kontekstu i miary. Nie byłoby katastrofy, gdyby nie było ucieczki, nie byłoby ucieczki, gdyby nie było wojny, a wojny by nie było, gdyby znaczna część spośród pasażerów „Gustloff” kilkanaście lat wcześniej radośnie nie wspierała Adolfa Hitlera, a następnie nie akceptowała jego zbrodniczej polityki.

Bractwo „Białej róży” także doczekało się filmu, także produkcji niemieckiej. Poruszająca historia Sophie Scholl i jej kilkorga młodych, idealistycznych przyjaciół, którzy chcieli zwalczać nazizm za pomocą ulotek, została pokazana w obrazie „Sophie Scholl – ostatnie dni”. Jest z tym jednak pewien problem: Scholl i jej towarzysze, skazani przez Trybunał Ludowy na śmierć, należeli do ułamka promila niemieckiego społeczeństwa, który chciał walczyć z narodowym socjalizmem z powodów ideowych. Gloryfikowanie ich motywacji i postawy jest zrozumiałe, ale grozi zachwianiem proporcji. Film z 2005 roku pokazuje członków bractwa, ale znacznie mniej zajmuje się otaczającym ich morzem chętnych sprzymierzeńców Hitlera: zwykłych Niemców, którzy na ulotki Sophie Scholl reagowali całkowitą obojętnością lub donosami na Gestapo.

„Nasze matki, nasi ojcowie” to tylko kolejny klocek w tej układance, której celem jest zrelatywizowanie niemieckiej winy. Jak zatem miałby wyglądać opis II wojny światowej według scenariusza, który państwo niemieckie poprzez swoje elity bardzo konsekwentnie realizuje?

Po pierwsze – nie bardzo wiadomo, kto wspierał Hitlera w dojściu do władzy. Jacyś Niemcy – chyba tak, ale nigdy nie ci, których pokazuje dziś niemiecka kultura popularna. A jeśli już ktoś się do tego przyznaje, to od razu zastrzega, że poniósł go ogólny entuzjazm, że inni zachowywali się tak samo i że on sam nic nie wiedział o zbrodniach. A gdyby nawet wiedział, to by nie uwierzył. A gdyby uwierzył, to nic by nie mógł zrobić.

Po drugie – owszem, istniały zbrodnicze nazistowskie formacje (uwaga: nazistowskie, nie niemieckie, podobnie jak obozy koncentracyjne), przede wszystkim SS ze wszystkimi jej odgałęzieniami, ale nie wiadomo, kto do nich należał. Może jakieś krasnoludki? Wehrmacht natomiast był normalną armią i nie ma na sumieniu żadnych zbrodni.

Po trzecie – owszem, naziści mordowali przede wszystkim Żydów (Polacy niemal się w tym kontekście nie pojawiają), ale przecież także w Polsce był antysemityzm. No i Polacy wydawali Żydów za pieniądze. Więc właściwie byli tak samo winni jak naziści.

Po czwarte – owszem, wojnę wywołali naziści (przypominam: nie Niemcy, lecz beznarodowi naziści), ale cierpienie jednostek ma taką samą miarę. Tak, Żydzi i być może nawet jacyś Polacy cierpieli w czasie wojny, ale potem cierpieli zwykli Niemcy, wypędzani ze swoich rodzinnych stron czy tonący po storpedowaniu „Gustloff’a”. Tu cierpienie i tu cierpienie, więc jest równowaga. A zatem nie ma wyraźnej winy po żadnej ze stron.

To cztery główne wątki niemieckiej wersji historii. Możemy oczekiwać kolejnych spektakularnych realizacji filmowych, może nowych powieści czy filmów dokumentalnych, realizujących ten scenariusz. Po co? To chyba oczywiste. Odpowiednia interpretacja historii – nawet nie oparta na prostym kłamstwie (choć takich w „Naszym matkach, naszych ojcach” też trochę jest), a na równie skutecznym manipulowaniu proporcjami i kontekstem – jest elementem polityki państwa. Rola Niemiec w Europie po II wojnie światowej aż do dziś jest w jakimś stopniu warunkowana obciążeniem, jakim są zbrodnie II wojny światowej i odpowiedzialność całego narodu za wspieranie przez lata Hitlera (w tym wypadku wyjątkowo działa odpowiedzialność zbiorowa). Mówiąc najprościej: Niemcom wciąż wolno mniej, co doskonale było widać choćby w czasie ostatnich zawirowań finansowo-gospodarczych w strefie euro. Gdyby nie powojenny status Niemiec, Berlin byłby zapewne znacznie brutalniejszy i wobec Grecji, i wobec Cypru. Tak, istnieje tu całkiem realne przełożenie i związek tych dwu pozornie odległych od siebie sfer. Jest w pełni naturalne, że Niemcy chcą się tego ograniczenia pozbyć. I dzieje się to także naszym kosztem, bo winę trzeba na kogoś rozłożyć.

Jaka jest polska odpowiedź? Dofinansowanie z publicznej kasy „Pokłosia”. Jak miał powiedzieć kanclerz Otto von Bismarck: „Pozwólcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”.

Łukasz Warzecha specjalnie dla WP.PL